



Modlący się Senusi przed walką.



Gen. Liman Sanders na pokładzie tureckiego statku.

JÓZEF GAŁUSZKA.

Z nad Nidy.

(Z listów).

Kochany!

Ja jestem w swoim żywiole — na wojence; krew stara wre i kipi, bo też cudny czas — wyiskrzone nocki jasne i ten księżyc pyzaty, — gdybym mógł, tobym go wyciskał, że takie mi świetlane pomosty do modrego nieba buduje. Ej Józku! Co ci to za piękne nocki; ja się rozhulałem, pracuję tylko w nocy, wczoraj dosyć tego było. Przy tem wszystkiem, nie mam pojęcia ile farsy i komedyi znajdziesz w tej wielkiej tragedii dziejów.

W dzień się wysypiam, jem, czytam polskie powieści, rosyjskie kodeksy praw, odwiedzam kolegów.

Mieszkam bardzo wygodnie; pokój umeblowany kompletnie: dwa stolki, umywalnia, lustro, stół z obrusem (papier wzorzystymi kwiaty umalowany), kwiaty w doniczkach, oleander i t. d. Jedzenie bajkowe, picie bracie wymienite, a nocką — hulaj dusza po szerokiej równinie nadwiślańskiej. Dziś wróciłem z nocnej wycieczki o 5 rano, dobrałem sobie solidnych zawadyaków, tak, że mile czas spędzamy, na wolnym powietrzu (chcę mówić „świeżem“).

Uważam, dziś w nocy „in die Balance“ z za górki wylażą i przedemną w dali tryska snop iskier; maszeruję w tej dyrekcyi, — uwaga skupiona, oczy wytężone w każdym załomie światła szukają wroga; przychodzą do ogrodu, przeciskam się chyłkiem między drzewa... ostre „Halt, werda“? — staję. Poczciwa kapralina od Nowego „Sącza“ częstuje rumem. „Pan kapral i ja kapral“. Może ty nie wyobrażasz sobie tego, ale w zdenerwowaniu, zamiast na burka, natknąć się na kaprala z rumem, to rzecz niepoślednia.

A teraz zakręcę ci głowę od lewa, — dam essencji do tworzenia. Taka sytuacja: Biją się, jak wściekli; dużo trupów zaległo pola i zdawna uzbierało się sporo; przez zimę leżało to bractwo ubogich ciałem i duchem, między pozycjami wśród śniegów, lub wi-

siało na drutach przeszkód, jako chusty białe... Aż zaczęto cuchnąć to nieboractwo... I zrobili pokój na trzy godziny; poszli ludziska stąd i stamtąd i wzięli się razem do chrześcijańskiego pogrzebunku.

Było to w drugie święto Wielkiejnocy.

Około 3-ciej popołudniu widzę z dekunków naszych, jak Moskale wylażą ze swych i pokazują coś rękami na lewo. Daliśmy ognia — pozapadali się, jak pod ziemię; ale za chwilę znowu wystają ich łby, patrzą wszyscy uparcie na lewo, machają chustkami i czapkami...

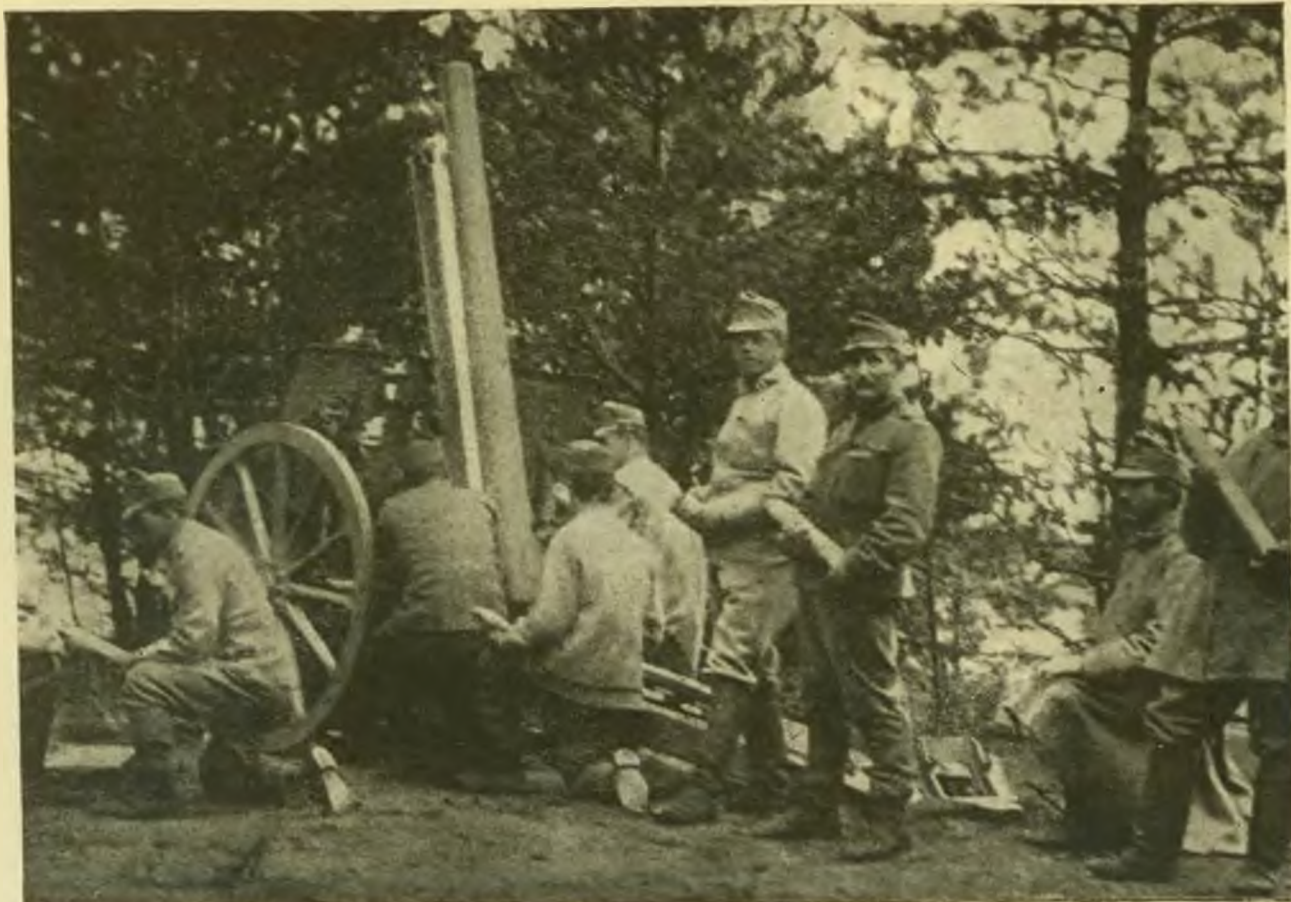
Patrę ja w tym kierunku, a tam na wzgórzu nasi i Moskale za pan brat podają sobie ręce, częstuja się papierosami, rumem... Zdąbiałem. — Przeszliśmy strzelać i powoli posunęliśmy do nich. — Między drutami naszymi i rosyjskimi mrowie Moskale i naszych; oficerowie piją wino, fotografują się, w takiej zgodzie i sympatyi, aż dziwne. — Tymczasem saperzy i sanitaci grzebali pobitych; jakiegoś sztabowca rosyjskiego, który widząc, że atak przez się zaaranżowany nie idzie, wsadził sobie kulę w łeb — Moskale zabrali, a tych, którzy leżeli podziurawieni kulami jak siła, po śmierci jeszcze, wlekli za nogi do jednej mogiły. Zbierali trupy, szklanemi oczyma spojierające w niebo, bez nóg, rąk, z porozbijanymi czaszkami, poszarpane granatami, — a nad tem wszystkim, śmiejących się tych, którzy za chwilę znów się mordować mieli. Potem ryk wspólny przy mogile i ogromny krzyż Chrystusowy, ale taki, aż do nieba, jak dzieciom się śni nieraz; stanął między pozycjami, ja'tby chciał objąć ramiony swemi jednych i drugich, żądnych krwi i mordu.

Potem — odeszli i bili się znowu, ale przez wysoki krzyż Chrystusowy...

Hej Józku! tu będąc mógłbyś dopiero odczuć ile prawdy mieści się w piosence, którą nuciłeś tak często:

Życie domek z karti,
miłość głupi żart...

Tak — życie, miłość, uczucia, ideały — karciań domeczki... Gwiżdżą kule, trzeba mi iść, idzie noc gwiazdzista... Żegnaj!



Działo do obrony przeciw statkom powietrznym.

Listy ze stolicy.

(Orygin. korespondencya Ilustr. Przeglądu Tygodniowego).
 (Brak mięsa i związane z tem następstwa. — Rozmowa z posłem parlamentarnym. — Magistrat wiedeński jest grzeczny. — Poco tej obłudy? — Jak się wyrzuca wychodźców. — Tajni ajenci. — Czy tak być powinno. — Teatr narodowy)

Wychodźcy są głodni: — w tem jednym, steryotopowem zdaniu, streszcza się cała smutna dola wychodźców. Są głodni — i nie mają widoków, głodu zaspokoić.

Bo z dniem każdym rosnąca drożyzna potęguje trwogę w dwójnasób. Drożyzna ta przybiera potworne wprost kształty.

Jak gdyby spowodować chciała faktycznie, — ograniczenie pokarmu. W tym względzie spełnia drożyzna swoje zadanie. Ale konsekwencją tego jest, że wychodźcy są głodni.

Bo nawet te dobroczynne instytucje, — te jadalnie, które karmily tysiące wychodźców, — teraz ograniczają już »menu«. — Pomijam zniesienie pokarmów mięsnych. — Wychodźcy nie muszą jeść mięsa. Ale niechże ten brak potraw mięsnych, zastąpią inne potrawy.

Jednakowoż tak nie jest. I dlatego wychodźcy są głodni. — Mówilem w tej sprawie z jednym z posłów parlamentarnych.

— Nic poradzić nie możemy — było odpowiedzią posła.

— Jakto? Nie możecie panowie interpelować u rządu, by popierał te instytucje, które karmią tysiące wychodźców i wyręczają w tem zadaniu rząd, który przecie musiał by znaleźć środki zaradcze przeciwko temu, aby wychodźcy nie ginęli z głodu.

— W zasadzie słusznie! Jednakże rząd utrzymuje, iż ofiaruje dosyć na wychodźców, udzielając im zasiłek 70-halerzowy. Zresztą rząd odstawia tych, którzy są głodni — do baraków.

— A w barakach jakie dzieją się rzeczy? — Krzyczące swoją krzywdą i bezprawiem. Nic każdy chce iść na mękę. Woli tu znosić głód — niż tam być jak pies poniewierany.

Na to dyplomata mi nie dał odpowiedzi.

Zorientowałem się, że trudno byłoby mu odpowiedź znaleźć. A ja jeszcze tyle pytań w imieniu naszych smutnych wychodźców mógłbym postawić.

Dlaczego np. czynniki kompetentne nie zalatwią tej aktualnej i piekającej kwestji robotniczych książeczek, bez których nie można znaleźć pracy. A tyle potrzeba rąk roboczych we Wiedniu.

Magistrat wiedeński, przesiąknięty etyką Weiskirchnerowską, obawia się robotnikom naszym stworzyć pole pracy. Obawa ta płynie z źródeł, że wychodźcy pracujący, przez niskie płace, za które zgodzą się pracować, odbiorą możliwość wysokiego zarobku robotnikom wiedeńskim. W egoistycznym zasklepieniu zamknięty magistrat wiedeński, obawia się dalej — o zgrozo — że wychodźcy, którym dobrzeby się we Wiedniu powodziło, i którzyby tu mieli źródło pracy, chcieliby pozostać we Wiedniu.

W swojej naiwności nie wiedzą panowie Steinery i inni jemu podobni rycerze — że chłop i robotnik polski woli u siebie w domu, na swojej ziemi drogiej, wśród swoich — kawałek chleba — aniżeli sute pieczenie i specjalności w mieście — gdzie się nie bardzo chętnem, a nawet powiedzmy nieżyczliwym wzrokiem na wychodźców patrzy.

Alc Magistrat wiedeński ma mimo wszystko bardzo elegancką formę — i tłumaczy petentom, że chętnie dalby



Wydawanie węgla za przekazem komendy wojskowej w Łodzi.

wychodźcom książeczki robotnicze, ale oni nie mają odpowiednich dokumentów, na podstawie którychby mogli książeczki otrzymać.

Ale co bardziej! Magistrat wiedeński stał się naraz najściślejszym kapłanem moralności! — Bo już zrezygnowałby z dokumentów — ale kwestyonuje moralność naszych wychodźców.

I poco tej konwenansowej obludy? — cisną się słowa protestu. — Dlaczego nie powiedzieć otwarcie: — życie z 70 halerzy, jeśli wam mało, unieście się w sfery niebieskie, albo idźcie »ku barakom« mlekiem, miodem — brudem i ńdzą płynącym.

Poco kłać i obrzucać mianem »niemoralnych« tych, którzy domy swoje opuścili, na tułaczkę bezdomną iść się zdecydowali — hyle nazad być w państwie konstytucyjnem, byle nie żyć pod knutem i nahajką.

My wiemy — że te braki dokumentów, które dla Magistratu są tak wygodną przyczyną wstrzymywania książek roboczych — my wiemy, że to tylko pretekst.

I dlatego smutno jest nam dziwnie i pod pióro ciśnie się pytanie — czemu się nam to należy.

Albo nie koniec na te — —

Stolica wiedeńska wyrzuca Galicyan. Kiedy przypuścimy ktoś walczył kilka miesięcy w polu, wreszcie ranny, stał się niezdolnym do dalszej walki i z wojska zwolnionym — kiedy ten »ktoś« przyjeżdża do Wiednia, ale jest Galicyaninem, natenczas wolają go do Magistratu.

Przybysz taki otrzymawszy wezwanie, cieszy się na samą myśl, bo spodziewa się uzyskania jakiegoś zasiłku, który jemu, po kil i miesiącach walki, dziś niezdolnemu do pracy, słuszenieby się należał.

Idzie tedy przybysz do magistratu. — Urzędnik spo-

ziera na niego groźnym wzrokiem. Bierze dokument, patrzy do ksiąg i obdarza go nowem imieniem.

— Sie sind ein Flüchtling. (Pan jest »uciekinier«).

— Nein. Ich habe nicht geflüchtet. Ich habe sechs Monaten gekämpft. Ich bin ein Bürger. (Nie! Nie ucickłem! Sześć miesięcy walczyłem. Jestem obywatelem).

Nie pomaga. Nowomianowany (»flüchtling«) dowiaduje się, że musi do 48 godzin opuścić stolicę. Jeżeli nie uczyni tego, to zjawią się u niego po wyznaczonym terminie »rycerze księżycy«, albo »policjanci« gminnym pisząc językiem.

Urzędnik zamiast odpowiedzi, — widzi zrozpaczoną twarz wychodźcy. Natenczas budzi się w nim t. w. »wiedeńskie serce« — i radzi mu wnieść protest.

Wątpi wprawdzie w skutek, ale wychodźca będzie mógł jeszcze przez kilka dni być we Wiedniu, czekając rozstrzygnięcia.

Obdarzony tyloma laskami, wychodzi biedak na miasto, ażeby się z nim pożegnać.

Ale nie koniec na ten! — Jeżeli już o przyjemnościach wychodźców i o policyi mowa, to przecie byłoby krzywdą nie do darowania, nie uwiecznić popularnego typu »tajnych agentów« Centralnego Komitetu na Circusgasse. Komitet zamiast myśleć nad tem, jak pomódz biednym wychodźcom, lamie sobie głowę nad tem, jak im tę szczupłą zapomogę odebrać, lub ograniczyć.

Stworzył się więc typ »tajnych agentów«, którzy nachodzą biednych wychodźców i wmawiają w nich rozmaite skarby Sezama, które wychodźcy ukrywają.

Głoszona przez Weiskirchnera nauka, że wychodźcy z 70-halerzowego zasiłku robią lichwę — znajduje coraz więcej zwolenników nawet wśród komitetów zapomogowych.

Jak odbywa się wylądowanie wojsk?

Smutno więc jest ogromnie — naszym biednym wygnańcom. — Nie dziw — że od tej szarej a tak ciężkiej rzeczywistości chcieliby się oderwać — a »dusze« swe kąpać w słonecznych, ukojących promieniach sztuki.

Z radością też witają »Teatr narodowy«, który w tych dniach powstanie i po najniższych cenach urządzać będzie

Specyjalną umiejętnością wojskową, na którą szczególnie uwagę zwracają potęgi morskie, jest lądowanie w kraju nieprzyjacielskim. Czysto techniczne trudności, które napotyka armia, chcąc wysadzić na brzeg oddziały żołnierzy, konie, armaty i olbrzymie masy żywności i amunicji, wymagają ogromnego wyszkolenia — tembardziej, że najczęściej wylądowanie odbywa się nie w wielkich, wygodnych portach, lecz w jakiejś ustronnej, zapomnianej zatoce, u ujścia bystrej rzeki lub wprost na otwartym brzegu.

Przy tem wszystkim wylądowanie powinno być dokonane niespodziewanie i z nadzwyczajną szybkością, aby nieprzyjacielowi nie dać czasu opamiętać się, zająć dogodną pozycję i zgnieść pierwsze podziały, które zdołały dostać się na brzeg.

W Anglii w sztuce tej ćwiczą się nie tylko wojska morskie, lecz lądowe i doprowadzono ją tam do wielkiego mistrzostwa.

Pod osłoną wystrzałów z armat, umieszczonych na cięższych barkach, lżejsze łodzie napelnione żołnierzami płyną ku brzegowi. Zaledwie łódki stanęły, w mgnieniu oka majkowie wyskakują w wodę i pędem rzucają się ku brzegowi.

Jest to najniebezpieczniejsza chwila. Wtedy stanowią oni doskonały cel dla ukrytego nad brzegiem przeciwnika, sami zaś nie mogą strzelać. Wylądowawszy, biegną ku najbliższym panującym nad okolicą wzgórzom i obsadzają je najlepszymi strzelcami, aby cięższe i większe szalupy bezpiecznie dopłynąć mogły za nimi. Lekkie armaty, które dopiero co strzelały z łodzi toczą się już po

specyjalnie do tego celu służących pomostach ku brzegowi, a potem wśród okrzyków ciągną je majtkowie na pozycję. Za nimi wnet następuje wylądowanie wozów z amunicją, żywnością oraz lazaretów. W łódkach nad brzegiem pozostaje straż, aby w razie niepowodzenia natychmiast zabrać wszystkie na powrót.

W taki sposób pokonano pierwsze trudności lądowania. Znacznie trudniejszą rzeczą jest wylądowanie cięższych transportów, a przedewszystkiem wielkich dział, które trzeba przewieźć razem z ich specyjalnie urządzonemi, olbrzymiemi lawetami. W tym celu zawieszają się takie działa pomiędzy dwiema szalupami, a z chwilą, gdy dotknie ono dna nad brzegiem,



Straż graniczna włoska i szwajcarska.

przedstawienia. — Nicjeden wychodźca od ust sobie odejść, ażeby tylko usłyszeć dźwięk mowy ojczystej — aby na chwilę znaleźć zapomnienie swej smutnej doliny tulaczey, która aby jak najrychlej kres znalazła.

Wiedeń, 17 maja 1915.

Roman Haber.



Z zajętej przez Niemców Belgii.
Kobiety belgijskie jako robotnice w kopalniach węgla.



Z walk w Królestwie Polskiem.

Ruiny pokoju sypialnego w pewnym mieście, które uległo bombardowaniu.

jak również przybyło kilka rodzin pocztowych i sądowych razem około 50 dusz. Warunki bytu są wśród tutejszych mieszkańców jako tako znośne chociaż drożyna i tutaj daje się każdemu dobrze odczuwać, gdyż nabiął jest tutaj w lecie droższy jak w zimie. Uspokobienie do uchodźców ze strony mieszkańców jest niby znośne, ale cóż robić — może lepiej nauczymy się kochać ojczyznę naszą gdy nam dają tu i ówdzie odczuć iż nie jesteśmy na swej ziemi. Gdy nadchodziły święta wielkanocne wszystkim polskim rodzinom dawał się odczuwać tym mocniej brak księdza polskiego, który by mógł zaspokoić potrzeby duchowe. Za staraniem będącego tutaj na ewakuacji profesora gimnazjalnego p. Kantora przybył w dniu 29. kwietnia ks. Bielawski będący na ewakuacji w okolicy Wiednia, który zaspokoił potrzeby duchowe, gdyż około 40 kilka osób przystąpiło do stołu pańskiego w dniu 30. kwietnia 1915.

A gdy od ołtarza szanowny kapłan w ciepłych słowach odezwał się do zgromadzonych biednych tułacz polskiej ziemi i gdy popłynęła pieśń „Boże Ojczy Twoje dzieci“ to łzy pojawiły się w oczach uczestników. Był to przepiękny dzień dla nas nas uwieczniony fotograficznym zdjęciem.

Na pochwałę tutejszego proboszcza ks. Aloizego Willnauera trzeba przyznać iż bardzo chętnie i z całą życzliwością gościł u siebie naszego księdza na plebanii przez cały czas pobytu udzielając mu gościny i pozwalając na odprawienie polskich nabożeństw w kościele. Tak na przyjazd jakoteż i na odjazd naszego księdza przybył tak tutejszy proboszcz jakoteż i wikary.

Drobne wiadomości.

„Gubernia przemyska“. Komicznem się wydać musi, że w Petersburgu w obecnej chwili oznaczają się granice „nowej prowincji rosyjskiej Przemysła“, która ma dzielić się na 12 dystryktów. Urzędnicy dla tej prowincji zostali już mianowani z wyjątkiem samego gubernatora. Z drugiej strony następujący charakterystyczny wypadek dowodzi, że Rosyjanie nie bardzo pewnie czują się jeszcze w Galicji. Sędzia pokoju czwartego okręgu charkowskiego prosił o urlop, by wziąć udział w konferencji prawników w Galicji. Izba radna odmówiła załatwienia tej prośby, jako należącej do kompetencji ministerstwa sprawiedliwości, ponieważ Galicja należy do zagranicy. Sędzia w podaniu do ministerstwa ponownie starał się wykazać, że idzie o podróż wewnątrz państwa, a nie o urlop za granicę, ponieważ rowy strzeleckie należy uważać jako granice terytorium rosyjskiego. Ministerstwo sprawiedliwości nie wydało jeszcze swego orzeczenia. W międzyczasie jednak rosyjskie granice rowów strzeleckich przesunęły się „nieco“ dalej na wschód.

Tragedya Polski. Ostatni numer tygodnika wiedeńskiego „Polen“ przynosi opis następującego tragicznego epizodu wojennego, którego grozę ocenić może w pełnej mierze tylko Polak współczesny. „Przy ostatnich gwałtownych atakach rosyjskich na pozycje austriackie w Karpatach, austriacki oficer ułański, Polak, hr. L. S., zobaczył się wraz z swoim oddziałem otoczony przez kilkakrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Szeregi rosyjskie atakowały zniszczonych ułanów z dziką zaciętością. Ułani austriaccy jednak bronili się dzielnie.



Z walk około Ypern.
Zdjęcie w nocy zapalonego granatami wiatraka.

Oficer, który dowodził oddziałem i kierował zwycięską walką, po ukończeniu jej, zachorował na ciężki rozstrój nerwowy, tak, że musiał być odwieziony do sanatorium.

Powodem była straszna przygoda w bitwie — zabił szablą rosyjskiego żołnierza, który, padając, zawołał po polsku:

„Jezus, Maryja! Boże zmiłuj się nademną!”

Te słowa i ta świadomość, że zabił swego rodaka, tak podziały na niego, że omdlał i w chorobie przypomnienie tego prześladowuje go ciągle.

„W takiej okropnej sytuacji nie znajduje się obecnie żaden naród na świecie” — kończy „Polen”.

Zburzone kościoły. Warszawskie Wiadomości Archidiecezjalne w artykule „Szlakiem wojny” podają wykaz spustoszonych kościołów i parafii w archidiecezji warszawskiej.

Wola (dekanat warszawski). W czasie od 27. września do 7. października r. z. na cmentarzu katolickim na Woli uległo zniszczeniu niemal całkowitemu ogrodzenie cmentarne. Ogółem straty wynoszą 1957 rb. 50 kop.

Babice (dek. warszawski). W Babicach kościół nie ucierpiał, zniszczono ogrodzenie cmentarne. Straty wynoszą 22.070 rb.

Raszyn. Działania wojenne na obszarze parafii trwały od 27. września do 7. października r. z. Ściany kościoła w wielu miejscach przedziurawione, sztukateria zniszczona, okna zdruzgotane. Kaplica przeobrażona, wskutek uszkodzenia przez pociski, wymaga przebudowy i naprawy. Dozór kościelny szkody w budowlach kościoła i innych budynków kościelnych oraz w aparatach kościelnych ocenia na 30.265 rb., a straty

proboszcza ks. Jana Garbowskiego wynoszą około 400 rubli.

Austryackie gubernie wojkowe w Kielcach i Piotrkowie. Z dotychczasowych okręgów pozostających pod zarządem wojskowych komend etapowych tworzy się wobec rozszerzenia tych terenów dwie gubernie wojkowe mianowicie c. i k. wojskową gubernię kielecką i piotrkowską. Do pierwszej wchodzi powiaty Dąbrowa, Olkusz, Miechów, Włoszczowa, Pinczów, Stopnica i Kielce; siedzibą urzędową gubernii te będąc na razie Miechów, później zaś Kielce, — w skład drugiej gubernii wchodzi Nowaradomsk, Piotrków, Opoczno i Końskie.

Trofea przemyskie. W „Russkich Wiedomostiach” z 23. kwietnia znajdujemy dokładny opis wszystkich „zdobyczy” przewiezionych do Moskwy. Okazuje się bowiem z „Russkich Wiedomostiej”, że z „kilku tysięcy zdobytych armat zdołano tylko przywieźć do Moskwy dwie 24 centymetrowe haubice, zupełnie niemal zniszczone, dwie armaty 18 centymetrowe, dwie 15 centymetrowe i dwie 12 centymetrowe, czyli że razem razem 8. Wszystkie te armaty, jak piszą pisma moskiewskie, są niezdatne do użytku. U kilku brak zamków lub lut. Nieliczne te trofea będą postawione w Kremlu.

Poczta niemiecka w Królestwie Polskiem. Rząd niemiecki zaprowadził w terenach Królestwa zajętych przez siebie pocztę i telegraf na usługi urzędników niemieckich i członków ich rodzin, — i dla ruchu pocztowego wewnątrz kraju. Ruch dla prywatnych z państwem niemieckim nie jest jeszcze zaprowadzony. Znaczkami są niemieckie z napisem: „Russisch-Polen”.

Na starym gruncie.

Powieść

przez

M. Febroniusza.

1)

Przy szosie radomskiej leży miasteczko, podobne do wszystkich naszych miasteczek wół rolniczych. Niedgdy był to gród starościński i dziś jeszcze folwark, należący do miasta, z dużym starym dworem i cienistym ogrodem, nazywa się starostwem, lecz prócz tego i starych portretów na ścianie kościelnej koło wielkiego ołtarza i ławki zwaną kollatorską, niema tu żadnych śladów przeszłości. Wczoraj, w pierwszą niedzielę po św. Stanisławie, był tu jarmark, dziś miasteczko odpoczywa po zbytku ruchu i życia, zanurzone w porannym spokoju i ciszy. Plac targowy umiecionym już został z porozrzucanej po nim słomy i śmieci, i jest tu znów porządek i czysto; tylko stado wróbli, odstraszonych miotłami dwóch pracowitych stróżów miejskich, zbiegło się znowu wyszukiwać między kamieniami bruku uronionych tu wczoraj ziarn zboża. Świergocą wesoło, zadowolone z tego, co człowiek porzucił; a że słońce majowe świeci jasno z pogodnego nieba, tworzy to miły, wesoły obrazek. W głębi rynku widać murowany kościół z wysoką wieżą, w niebo strzelającą, zwykłej u nas, romańskiej architektury, prostej i poważnej. Kilka starych lip oddziela ten dom boży od rynku i na nich-to gnieździ się ta szara skrzydlata przesa, która teraz gospodaruje na placu. Mieszka tu przecież i słowik, ale trochę dalej, od strony plebanii, i śpiewa w majowe noce; głos płynie po rosie a woń bzów, które kwitną w ogrodzie proboszcza, zalatuje na rynek i niejedno dziecko mieszczkańskie miewa dziwne sny wiosennych nocy.

Dwa poprzeczne boki rynku zabudowane są drewnianymi domami, ale trzecia jego ściana, wzdłuż której przechodzi szosa, stanowi głównie chwałę i ozdobę miasteczka. Wznoszą się tu, jedna obok drugiej, trzy murowane piętrowe kamienice, z których jedna ma balkon!... Tu mieści się apteka i na pierwszym piętrze mieszka doktor, obok jest siedzisko sądu, kancelarya rejenta, a w trzeciej znajduje się cukiernia.

Naprzeciwno, na rogu rynku, w murowanym także, ale już nie piętrowym budynku, jest poczta. Z okien cukierni można widzieć, kto się tu zatrzymuje, wysiada lub wsiada, — co jednak zdarza się bardzo rzadko, ale powóz pocztowy, przez dawne nawyknięcie zwany sztajnkelerką, mienia tu konie i wtedy widać głowy podróżnych, wyglądających na miasteczko, i patrzących w okna cukierni, zdobne w story malowane w wielkie kwiaty i ptaki. Ale dzieje się to regularnie o drugiej godzinie po południu, teraz zaś niema jeszcze dziewiątej, bo p. sekretarz sądu, który o tej godzinie już jest zawsze w biurze, jeszcze pije w cukierni herbatę. Sam cukiernik przyniósł mu świeżo upieczone bułeczki i przysiadł się po drugiej stronie stołu na chwilę pogawędki.

Wczoraj przyjechało na jarmark kilku szlachty z okolicy, i o nich głównie toczy się rozmowa, co który sprzedawał, co kupował i jak stoi w interesach, — gdy wtem zaturkotało na szosie i oczy rozmawiających zwróciły się w stronę okna, do którego przypierał właśnie ich stół. Mała, bardzo wytworna karetka zatrzymała się przed pocztą, a gdy pocztylion odprzegął konie, lokaj, który obok niego siedział na koźle, niemłody już, wyglądający na sługę z pańskiego domu, przystąpił do okna karetki, w której znajdował się jeden tylko podróżny, mężczyzna młody, lecz ten zapewne spał jadąc, bo poruszył się bardzo leniwie

i powoli, aby spuścić okno powozu i oczy trzymał jeszcze wół przymknięte, słuchając co lokaj mówi do niego.

Był bardzo przystojny; długi, jasny wąs miękko się opuszczał koło pięknych, koralowych ust, a z pociągłej twarzy bardzo regularnych rysów, patrzyło coś arystokratycznego. Nie musiał mieć jeszcze lat trzydziestu, i widocznie był bardzo zdrożony, bo nie można było poznać, czy słyszy służącego, który zapewne namawiał go, aby wysiadł i wypił śniadanie w cukierni, na którą wskazał ręką. Ale młodemu panu nie chciało się snadź ruszyć z miejsca, bo tylko lokaj wszedł do cukierni i zapytał: czy można było podać herbatę do powozu?

On sam ją zanieść, więc nie sprawi to żadnego ambarasu; zadysonował tylko, jaką być miała i poprosił o drugą szklankę, w którą parę razy przelał herbatę, aby nie była zbyt gorącą. Potem wybrał ze stołu cukierniczego dwie, najlepiej wypieczone bułeczki, i ustawiwszy to wszystko na tacce, poniósł do powozu.

— Gagatek jakiś — mruknął sekretarz, patrząc w stronę karetki i choć już skończył śniadanie, pozostał jeszcze w cukierni dla obserwacji podróżnego. — Gagatek... ale piękny chłopak, co się zowie. Widać, że musi być wysoki, i dlatego nogi ścierpły mu w tej jego budce.

— Panicz to jest — dorzucił cukiernik — nie mamy tu żadnego takiego w naszej okolicy.

Stary lokaj odniósł wkrótce szklankę i tacę. Herbata była wypita, ale bułeczki pozostały nietknięte. Że wyszedł zaraz, zapłaciwszy, cukiernik nie zdążył zapytać o nazwisko jego pana.

— A czy to przypadkiem nie Stanisław Starowiejski? — zawołał naraz sekretarz, gdy karetka ruszyła właśnie. — Słyszałem, że ojciec kazał mu wracać na wieś; ma szalenie grać w karty i narobił ogromnych długów.

— Jedynek, a stary jest bogaty — wtrącił cukiernik, ale sekretarz rozgniewał się na to rozumowanie. — Czy ma dlatego tracić, aby potem chodził bez butów — ofuknął. Różne poznaki utwierdzały go w przekonaniu, że widział Stanisława Starowiejskiego. — Gracze właśnie dochodzą do takiej apaty już w tym wieku — dowodził cukiernikowi.

I nie mylił się. Podróżnym był rzeczywiście Stanisław Starowiejski, którego ojciec ściągnął na wieś z Warszawy. Stary był wzorowym gospodarzem i pierwszym między obywatelami tej okolicy; mówiono, że ma ogromne pieniądze w gotowiznie, że robi ciągle majątek. Syn był jedynek, matka już nie żyła i naturalnym było żądanie samotnego człowieka, aby jego przyszły spadkobierca nie bawił gdzieś na świecie, nie marnował młodości i grosza, ale pod jego kierunkiem włożył się do przyszłego zawodu — do gospodarstwa na dużej, choć nie magnackiej fortunie.

Nie chciał przecież przykuć go do zagonu zbyt młodo. Po skończeniu szkół radomskich, sam go powiózł do Warszawy, do Szkoły Głównej, aby studiował prawo. — Gospodarować nauczył się z czasem ode mnie — mówił żyjącej jeszcze wtedy żonie. — Nie potrzebuję też oddawać go do żadnej akademii agronomicznej. Ale prawo jest mi potrzebne, bo uczy porządnie myśleć, i stara to tradycja nasza, aby ziemianin znał prawa swego kraju, ma za sobą zasadę rozumną. Ty, Jadwisiu, wolałabyś mieć go zaraz przy sercu, ale tak nie można. Rodzice nie dla siebie tylko chowają dzieci...

Matka otarła łzę, ale przystała. Ciężko jej było, zwłaszcza w owych czasach, puszczać jedynaka w świat, jaki przedstawiała już Warszawa; że przecież wierzyła w rozum męża i pragnęła szczęścia dla syna — nie stawiała oporu. Po skończeniu studiów prawnych, ojciec zachciał

jeszcze dla syna podróży. I to była stara tradycja, którą uznawał za dobrą. — Trzeba młodemu poznać szersze koło życia, aby potem nie uwiązał duchem w partykularzu swoim — tłumaczył znów żonie. — Pyszalki powiatowe rodzą się z zaściankowiczów.

Tym razem kobieta lękała się silniej rozstania, bo było dalszem — było już zupełnem wypuszczeniem z klatki drogiego jej ptaka. Odważyła się nawet na pewnego rodzaju opozycję. Paryż zwłaszcza straszyl ją, jak jakiś piec ognisty, ale mąż zmarszczył brwi, słuchając jej wywodów.

— Jeżeli taki kiep, jak przypuszczasz, to niech ginie — rzekł surowo, ale potem tłumaczył żonie, że wychowanie, jakie dali Stasiowi, jest dobrą tarczą, która zasłania. — Nauczyłem go kochać swój kawałek rodzinnej ziemi — mówił — a to rzecz zasadnicza. Z tą miłością w sercu, przechodzi się próby bez szwanku. Wiem to po sobie, bom i ja przecież był młody, i miałem też przejścia moje, ale ten to ideał strzegł mnie i widzisz przecież, że ustrzegł.

— Ach! — westchnęła matka — gdyby tylko nie ta jego miękkość... Ma serce najlepsze, ma duszę szlachetną, ale sam mówisz czasem, że charakter jest... słaby!

— Potrzeba też, aby się wzmocnił, zahartował... Czy myślisz, że słabość charakteru nie dobodłaby mu i tu — i tu nie zabiegłaby drogi uczciwego istnienia — życia, honoru i użytku publicznego? A cóż ty myślisz, że Janek Boleski na co innego przepada? A jego awantury ze skaryszewskiego jarmarku — jego szalone rozbijanie się coraz to inną czwórką koni, jego nędzne hulatyki — czy to nie słaby charakter, w połączeniu z domorosłą powiatową pychą? Słaby charakter... o ja wiem, że to nieszczęście największe, najcięższe nieszczęście dla człowieka — tak w Paryżu, jak w Skaryszewie...

Ojciec tego jedynaka ze słabym charakterem chodził przy tej rozmowie w kółko po pokoju i tarł czolo, ale w kilka godzin po tem, gdy miał iść spać i szedł powiedzieć żonie dobranoc, całując ją prosił, aby była spokojną. — Powtórzę ci raz jeszcze, że nasz Staś odebrał dobre wychowanie, a jak sama twierdzisz, ma serce, ma duszę szlachetną — tłumaczył jej. — Z umysłu wyciągnąłem go dzisiaj ze sobą niby na objazd borkowskiego lasu, a rzeczywiście na rozmowę. Dobrze myślisz, dobrze czuję, i da sobie radę z życiem...

— A nie można go trzymać wiecznie na rodzicielskim pasku, bo to właśnie zrobiłoby go biernym — zrobiłoby go nicodpowiedzialnym wobec trudności życia, z którymi mężczyzna, czy dziś, czy jutro, — spotkać się musi. Jak ci mówiłem, kocha gorąco swoje kąty... swój grunt stary, a to będzie mu pancierzem i tarczą — będzie mu zbroją dobrą.

— Pożegnaj go w Imię Boże i puszczaj śmiało w świat — rzekł potem p. Andrzej Starowiejski do żony, gdy Staś wyjeżdżał do Warszawy, skąd miał ruszyć zaraz dalej. Już paszport i wszystko było gotowe i ojciec tylko jeszcze odwoził syna do Warszawy, bo i on kochał go niemniej niż matka, i brzmiały mu w uszach te jej słowa, zwłaszcza:

— Jedynaka tylko mamy... jedynaka! Jedną tą gałązeczka trzymamy się szczęścia...

Przed odjazdem Stasia zagranicę, a ojca do domu, ostatnia noc w hotelu zesła im bezsennie. Ojciec mówił już ze synem, jak mężczyzna z mężczyzną — mówił mu długo, obszernie, z wielkiem poruszeniem serca o ważności dobrze przeżytego początku życia, o obowiązkach bogatego ziemianina w naszym kraju. Świtało, gdy się rozstali. Ojciec walczył zębami, aby nie stoczyły się na lica, gdy wziął syna w ramiona i przycisnął sobie do serca. Zaraz wprost po-

tem wsiadł do powozu i jechał do domu. Syn ten, z którym się rozdzielił, emancypując go już niejako w tej chwili, był kochany całą miłością, jaka zwykle dostaje się jedynakom — uczuciem, które skupia w sobie wszystkie nadzieje, jakie ma życie. Tu było jeszcze coś więcej. Ojciec ten widział w synu dziedzica wszystkich swoich myśli, marzeń, i planów tego, co on zaczął, a co Stanisław miał prowadzić dalej.

Człowiek to był uczciwy i obywatel dobry, jak mało, bo dobry rozumnie. Gospodarował wzorowo i nie myłono się utrzymując, że robi majątek, że go dorabia ciągle, bo pracowity był i nie próżny, więc nie wydawał dużo, nie bawił się w pańskości. Stosunki do wsi i wiejskiego ludu urządził też podobnie, a gdy coś nie szło tu po myśli, gdy sąsiedzi, którzy go nie naśladowali, wodzili, że się bawi w mrzonki, w ideały, które nie doprowadzą do niczego, odpowiadał im: — Poczekajcie... Początki są zawsze trudne, ale to, com ja zaczął, jak się dało, Stanisław poprowadzi dalej — dokończy...

Tego-to ojca syn wracał teraz do domu, po czterech latach niebytności. Matka już nie żyła; śmierć przyszła niespodziewanie, prawie nagle, po kilku dniach słabości więcej, niż choroby, i jedyny syn nie zamknął jej oczu. Mąż tylko przyjął jakoby jej testament uczuć dla niego. — O, kochaj go teraz za mnie i za siebie — mówiła, wiedząc, że umiera — kochaj go i nie bądź surowym...

Prośba umierającej miała znaczenie, bo już wtedy syn dawał rodzicom pewne powody do zmartwienia. Wydawał za dużo pieniędzy i ojciec zaczynał się już gniewać o to. Paryż, którego tak się lękała matka, nie zrobił przecież wylomu w zasadach jego postępowania. I tam wydał bardzo dużo, zaraz po przyjeździe, ale w sposób, który nie oburzył ojca. Ze na wsi wiedzą zawsze sąsiedzi, co się dzieje u każdego z nich, wiedziano i to, wysondowano jakoś, że p. Andrzej Starowiejski posłać musiał wkrótce duże pieniądze synowi. Że mimo swojej wartości, swojej wyższości rozumu i serca, a może właśnie dla niej, miał zazdrosnych, miał szarpiących go milczkiem, nazywających sknerą, gdy nie wydawał tam, gdzie oni, — a filozofem, skoro to czynił na innych drogach — więc teraz dokuczano mu niby z życzliwości.

— A, sąsiedzie dobrodzieju... podobno Staś grubo cię kosztuje... — mówił jakitaki, ale on odpowiadał spokojnie, że nie jest to jeszcze stratą, gdy młodość ma serce, które nie zdoła zawsze rachować. — Spotkał się z biedakami i wydał... to nic złego... to dobrze nawet — odpowiedział. — Kazałem mu być rozsądnym, alem go bynajmniej nie złażał.

To samo powtarzała sąsiadkom matka, ale wkrótce po wyjeździe Stanisława do Anglii, ojciec, czytając list syna, zmarszczył posępnie brwi. Wpadł on między paniczów kolosalnie bogatych i dał się pociągnąć do sportu, wyścigów, zakładów na ich skalę. Ojciec posłał pieniądze, ale już z naganą, z nakazem, aby się to nie powtórzyło raz drugi.

Powtórzyło się przecież. Syn z prośbą udał się do matki o interwencję, i ta matka wymogła na mężu, że pieniądze żądane dostał, ale teraz już z listem bardzo poważnym. Ojciec zamknął się do swego gabinetu, aby go pisać, i pisał godzin parę. Posyłał żądane pieniądze, nie tylko dla prośby słabej żony, ale że tu chodziło o dobre imię syna, który nie mógł zostać niewypłatnym. Nakazał wracać, jeżeli nie potrafi rządzić się lepiej — tak, aby mu starczyła naznaczona pensja.

Czy starczyła? Ktoś z sąsiedztwa powziął jakoś języka, że nie... Panicz nauczył się robić dłużni...

(D. c. n.)

Podczaszanka.

Obrazy z przeszłości

1)

napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński

I.

Na wyniosłem wzgórze, niedaleko Kościana, leży niewielkie ale bardzo ładne miasteczko Smigiel. Starożytna to osada, bo zdaje się sięgać trzynastego wieku, a jak cała Wielkopolska, narażona tak często na rypieże Krzyżaków i Szwedów, tak i mury miasteczka, o którym mówimy, miałyby wiele z dawnych opowiedzieć dziejów. Ongi był Smigiel własnością słynnego Dudicza, biskupa z Pięćkościołów (Püntkirchen), który posłował do Polski od cesarza Ferdynanda, a jako gorliwy zwolennik socyna, założył tutaj ognisko jego rozwięzionej sekty. Zbor i szkoły tych reformatorów przetrwały w miasteczku aż do r. 1650. Miał Smigiel i kościół katolicki, fundacji Andrzeja z Bnina, biskupa poznańskiego z roku 1470. Od Dudicza nabył miasteczko wraz z przyległymi dobrami Krzysztof vel Elias Arciszewski, owym duciem niespokojny i awanturniczy, co wojskami Króla Portugalskiego dowodził w Brazylii, a wstawiając tam imię swe, powrócił do ojczyzny, aby jej być pożytecznym i dostąpić rangi pierwszego generała artylerji polskiej. Droga sprzedaży przeszły dobra Smigiel do Wienawitów Leszczyńskich, a w czasie, o którym mówimy, były w posiadaniu rodziny Chłapowskich, a mianowicie Ksawerego Chłapowskiego, podczaszego powiatu poznańskiego.

Pan Ksawery był człowiekiem dawnej daty, jakkolwiek z pięknym wychowaniem i europejskim polerem. Pomimo tradycyjnych karmazyna zachcianek, kiedy go zaszczyliła brać szlachta godnością posła na sejm czteroletni, nie poszedł śladem krzykaczów hetmańskich o złotej wolności i „liberum veto“, ale głosował za ustawami konstytucyj i lat dwa zasiadał w edukacyjnej komisji, a samo to, że w młodym bardzo wieku powołali go ziemiana na godność poselską, że piastował urząd ziemski podczaszego, świadczy nam, że w swoim województwie używał istotnego poważania i wielkiego miru. Ożeniony z krewną swoją, kasztelaną Chłapowską, osobą wielkich cnót i niepospolitej urody, dzielił życie między zajęcia publiczne i szczęście rodzinne; Bóg obdarzył go bowiem dwojgiem dzieci, synem Stanisławem i córką Barbarą, z których ostatnia jest bohaterką naszego, aż do najmniejszych szczegółów prawdziwego, opowiadania. Podczaszy Chłapowski była to postać piękna i wyniosła; twarz o rysach pełnych młodocianego ognia otaczały bujne chociaż siwiejące włosy, oczy ciemne, głęboko oprawne, patrzyły śmiało i poważnie, ujawniając bystrość myśli i stanowczość czynu. Światły umysł podczaszego, serce pełne gorących uczuć i nieskażony charakter nie uległy zwątpieniu pomimo upadku społeczeństwa, którego był dzieckiem; a kiedy twórca geniusz Dąbrowskiego organizował legiony włosko-polskie, podczaszy był jednym z pierwszych, który tej organizacji pomagał wszelkimi siłami, jakimi rozporządzał w granicach możliwości. Narażając się na niebezpieczeństwo wobec surowych środków, przedsięwziętych przez rząd Fryderyka, aby unicestwić pomoc legionom, robiąc znaczne datki a nawet ryzykując rozległy majątek, spełniał pan Ksawery obowiązek tylko w swoim przekonaniu; nie przeląkł się wszakże i większej ofiary, ofiary serdecznej, bo ofiary krwi: kiedy bowiem młodzieńki Stanisław począł się rwać za innymi pod sztandary Dąbrowskiego, nie stawał podczaszy przeszkod rycerskiej

krewkości, ale własną ręką podawszy mu kord pradziadowski z błogosławieństwem ojcowskim, wyprawił ukochanego Stacha w szeregi walczących.

Mijały miesiące, mijały i lata. Legioniści walczyli z rozmaitem szczęściem, ale zawsze z bohaterstwem i pełni nadziei; w kraju tymczasem nasłuchiowano z niepokojem wieści o tych homerycznych bojach, o losach rozbitków, o ich tryumfach czy klęskach. Z powodu trudnych środków komunikacji rzadko tylko mogły dochodzić wiadomości zasługujące na wiary; czasem po wioskach przemknął się ubogi podróżny lub handlarz wędrowny, jakiś szklarz wprawiający szyby, albo Węgier z olejkami, udzielając tajemniczo wieści z nad Padu i Tybru, lub przynosząc listy, po których odczytaniu jaśniało oko radością albo sępiło się smutkiem. Rzadko to było jednak, bardzo rzadko, to też wszyscy prawie drżeli z niepokoju; jedno tylko wiedziano z pewnością, że legiony walczą, że się organizują nowe ich zastępy, a na ustach wszystkich było wielkie imię, które podtrzymywało nadzieję i krzepiło ufność: nazwisko »Dąbrowski« przebiegało błyskawicznie po obszarze kraju, dodając jego mieszkańcom otuchy i wiary, wabiąc świeżych ochotników w szeregi legionów. Tak trwały rzeczy aż po r. 1802. W tym nieszczęsnym roku wszyscy ponownie upadli na duchu. Egoistyczny konsul, chcąc się dla swych politycznych względów pozbyć legii polsko-włoskiej, wysłał jej większą część do Livorno a później do Genui, skąd zaambarkowani na okręty wojacy, musieli płynąć na St. Domingo pod wodzą generała Władysława Jabłonowskiego. Wiadomo z historii, że tam wszyscy prawie wyginęli wraz ze swoim dowódcą. Prócz tych nieszczęśliwych pozostała kawalerja i brygada piechoty pod komendą generała Dąbrowskiego przeszła jako »legion północny« na żółd Rzeczypospolitej Cisalpińskiej i tu przetrwała aż po rok 1806.

Kampania prusko-francuska, poczęta lekkomyślnie przez doradców króla Fryderyka, skończyła się zwycięstwem Napoleona pod Jeną i Auerstädt 14 października, a powaliwszy w gruzy monarchję pruską, wywołała stanowczy zwrot w politycznych stosunkach kontynentu. Trudno nam w szczytch granicach niniejszego opowiadania przebiegać cały szereg ówczesnych wypadków, zwłaszcza, że uczyniliśmy to już gdzieindziej^{*)}; zaznaczymy więc tylko, że dyplomacya francuska, zawiędziona w swoich zabiegach, tak u rządu austriackiego, jako też u rosyjskiego i pruskiego, zwróciła się ku narodowości i postanowiła szukać pomocy u ludów. Wezwano więc Dąbrowskiego z Peschierji, aby powołał do oręża swych ziomków w dzielnicy zajętej przez Prusy, a wówczas prawie już uwolnionej od wojsk króla Fryderyka. Dzielny i wytrawny wódz z przydanym sobie do boku Józefem Wybickim, jako komisarzem pełnomocnym do zorganizowania władz cywilnych^{*)}, opatrzonej szeroką władzą i instrukcjami od cesarza, wyjeżdżał właśnie do Berlina do ziemi rodzinnej. Zapakowawszy skromny wojskowy mandelzak i masę proklamacyi Napoleona, w mglistą noc jesienną 2 listopada, wsiedli obaj przyjaciele w powóz i udali się w podróż.

Nie kuszę się nawet opisywać entuzjazmu, jaki panował w Księstwie w owym dniu pamiętnym; jakby iskra elektryczna dotknęła obumarłe społeczeństwo całej prowincyi; starzy i młodzi plakali łzami radości, wrogowie podawali sobie ręce do zgody, z ust do ust przebiegało imię wodza legionów, tego okrytego sławą męża, co po tylu bojach i trudach, po tylu zawodach i klęskach, po niezliczonych przejściach, dążył do kraju, aby swojej wytrwałości gromadzić owoce i to zmartwiałe społeczeństwo powołać do życia.

(C. d. n.)



Pod Gorlicami.

Pole bitwy zasłane trupami rosyjskich wojsk.

Zdała od swoich.

Spadł śnieg, głęboki, puszysty, biały. Gałęzie świerków i sosen gięły się pod jego ciężarem; drzewa stały nieruchome wśród ciszy leśnej, spokojnym, zimowym ujętym snem. Wieczór zapadał...

Powolnym krokiem, z karabinem w rękę szedł młody żołnierz leśną ścieżką. Mundur na nim siwy, na głowie czapka legionisty z niziutkim daszkiem, z pod którego para oczu niespokojne wokół rzucała wejrzenie.

Co kilka kroków przystawał, czujnie nasłuchując. Do uszu jego dolatywało od czasu do czasu dalekie szczekanie psa. Drzewa rzedniały, młody żołnierz widział białą płaszczyznę, oddzielającą las od wioski. Zbliżył się do skraju lasu i dopiero teraz, dostrzegł światła w dali.

Przez chwilę stał w miejscu, zapatrzony w czerwone błyski, tocząc w sobie jakąś walkę — wreszcie podniósł prawą rękę do czoła, uczynił znak krzyża i ruszył śmiało naprzód.

Pochylony ku ziemi, skradł się szybko do wioski. Sioło już blisko, ujadanie psa coraz wyraźniejsze. W piersi żołnierza, serce uderzało jakąś trwogą. Przed wioską rzucił się na ziemię i począł pełznąć po niej, lecz zdaje się, uznał to wkrótce za niepotrzebne, gdyż powstał i śmiałym krokiem dążył dalej. Poza nim zostały skrajne chaty, wąskie uliczki z zabudowaniami, a tuż, na ciemnym tle nieba widniał biały dworek.

Młodzian drżącą ręką rozwarł wrota, podszedł do ganecku. W wielkich oknach, przysłoniętych białymi firankami, błyszczało światło. Nogi ugięły się pod żołnierzem, chwiejnie przestąpił schodki i wszedł do sieni. Tu pomimo panującej ciemności, trafił odrazu do drzwi oświetlonego pokoju — zapukał lekko.

Wewnątrz dał się słyszeć szmer, ktoś podszedł do drzwi, ujął klamkę, otworzył — przed żołnierzem sta-

nęła jasnowłosa, młoda panienka. Spojrzała na oblanego światłem lampy młodzieńca — z ust wybiegł okrzyk: Tadek!..

Z rozwartymi ramionami rzuciła się do przybyłego a okrywając pocałunkami twarz jego, szczęściem jaśniejącą, wprowadziła do ładnie urządzonego pokoju.

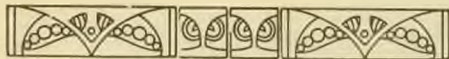
W wielkim pluszowym fotelu przy kominku siedziała starsza kobieta. Na radosny krzyk córki odwróciła się od kominka i siwe jej oczy, spotkały się z wzrokiem przybyłego, który patrzył przez chwilę na siedzącą kobietę, a po ogorzaleńcu licu płynęły krople łez. Postąpił wreszcie szybko naprzód i runął na kolana u stóp kobiety. Twarz ukrył w fałdach jej sukni, z ust, przerywane łkaniem, wybiegły słowa: „Matko! przebaczcie mi, nie ściągajcie na mą głowę gniewu Bożego... Zgrzeszyłem bardzo, uciekając z domu. Prosiłem was o błogosławieństwo — wyście mnie odtrącili, mówiąc, ażebym się nie wazył pod żadnym warunkiem zaciągnąć do legionów, nie usłuchałem was... uciekłem...”

— Już kilka tygodni minęło od owej chwili, wasz gniew ciągle mnie prześladowuje. I oto, będąc blisko rodzinnej wioski, postanowiłem przyjść was przebłagać. Koledzy odradzali mi, tłumacząc, że w tych okolicach kręcą się kozacy, lecz nie zważałem na nic — dostawszy dwudziestoczworo godzinny urlop, wybrałem się do was. Trzy mile szedłem, przedzierając się przez lasy, walcząc z zaspami śniegu.

Kobieta w milczeniu słuchała opowiadania syna, a kiedy skończył — objęła go macierzyńskimi ramionami, przycisnęła do piersi, a powstrzymując łkanie: „Przebaczam ci synu i błogosławię na przyszłość” — rzekła.

Młodzieniec ucałował ręce matki, objął stojącą obok siostrzyczkę, przyciągnął do siebie i w rodzinnym kątku przepędził kilka godzin szczęśliwych.

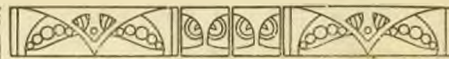
Opowiadał historię życia obozowego, opowiadał o krwawych walkach i potyczkach, a one słuchały go chciwie.



Król Konstanty
grecki.



Król Ferdynand
bułgarski.



Król Ferdynand
rumuński.

Władcy bałkańskich państw neutralnych, których decyzji oczekuje się każdej chwili.

Pierwsze promienie porannego brzasku wpadły do pokoju — legionista z smutkiem w duszy pożegnał ukochane.

Kobieta, wsparta na ramieniu córki, z twarzą łzami zalaną stała długo na ganeczku, patrząc za niknącym w dali, synem. Matczyne serce przygniatał ciężki ból; czuła, że syn jej odchodzi na zawsze, a przecież nie miała siły go zatrzymać..

On szedł smutny, co chwilę spoglądał na biały dworek, a kiedy doszedł do zakrętu drogi, przystanął. Odwrócił twarz, raz jeszcze w stronę dworku, zdjął czapkę z głowy, poruszył nią kilka razy na pożegnanie. Równocześnie po bładem obliczu stoczyły się gorzkie łzy bólu.

Cisza.

Promienie księżyca, przedarłszy się przez gęste drzew konary, wyjrzały na leśną polanę.

Tam, wsparty na karabinie, stał młody żołnierz na straży. Kiedy promienie pełnym światłem oblały postać, można było dokładnie rozeznąć bladą, zmierzowaną twarz i gorączką pałające oczy. Mundur wyszarzały, gzieniegdzie pokryty dziurami, wskazywał, że niejedną, ciężką przeżył chwilę.

Stał w miejscu, w twarzą nieruchomo zwróconą w stronę, kędy rzedniejące drzewa, dozwalały patrzeć na jasno oświeconą drogę.

Nagle drgnął. Delikatny słuch rozróżnił głuchy stuk kopyt końskich. W mgnieniu oka chwycił karabin, uskoczył w cień grubego drzewa i ukrył się za jego pniem. W chwilę później na polanę wjeżdżało kilku jeźdźców. Po wielkich czapach na głowach można było poznać kozaków.

Żołnierz, ukryty za drzewem, widział dokładnie ponure oblicza. Przez chwilę wahał się co czynić —

młoda krew zagrała w żyłach... z przygotowaną do strzału bronią — czekał..

Kozacy powoli przejeżdżali polanę, zbliżając się w jego stronę. Gdy byli tuż koło niego krzyknął: „stój!“, wyskakując z ukrycia.

Kozacy stanęli jak wryci, lecz wnet ochłonawszy obskoczyli żołnierza.

Był przygotowany na to — cofnął się więc trochę wstecz... i wkrótce huknął strzał... Nie powtórzyło go jeszcze echo, a już ciało kozaka na białym leżało całunie. Znów strzał: drugi jeździec z jękiem osunął się z konia.

Rozwścieczeni kozacy, z zaciętością natarli na żołnierza. Zanim tenże po raz trzeci miał czas użyć broni, zwałił się z szumem w głowie na ziemię.

W mgnieniu oka słudzy carscy skrępowali mu ręce, wsadzili na konia i poganili z powrotem.

Przybyła na odgłos strzałów pomoc, zastała tylko zeszywniałe dwa trupy w zakrzepłych kałużach krwi i wyciśnięte w śniegu ślady odbytej walki.

Nadeszła noc.

Niebo wyiskrzyło się tysiącem migotliwych gwiazd. Blade światło księżyca, padło na uśpioną ziemię.

W małej celi rosyjskiego więzienia, na nędznym tapczanie — leżał człowiek. Ubiór jego stanowiły poszarpane łachmany, szczątki, niegdyś pięknego, siwego munduru leg onisty. Głowę miał przewiazaną białą szmatą, na której widniały zaschłe ślady krwi. Twarz chuda z wystającymi kośćmi, podobniejszą była do trupa, niżli do żyjącego człowieka. Zamknięte powieki, od czasu do czasu, podnosiły się nerwowym drganiem, Prawą rękę trzymał kuczowo zaciśniętą na piersiach, a lewa — bezwładnie zwisła z tapczana ku ziemi.

— Księżyc płynął powoli po jasnym tle nieba